



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Radomił M. Gołębiewski

## Moje przejścia z lat okupacji

Mieszkałem z rodzicami we wsi Dukt w gminie Gliniojeck (pow. Ciechanów, woj. warszawskie). Rodzice posiadali gospodarstwo o powierzchni 16 ha. Było nas w domu czterech braci i dwie siostry. Ja byłem najstarszy z rodzeństwa. Szkołę podstawową (7 klas) ukończyłem w Zalesiu gm. Gliniojeck.

Nasza wieś położona jest blisko lasu o szerokości 4 km, a długości ponad 20 kilometrów. 5 września 1939 roku oddziały polskie nie wytrzymały silnego naporu hitlerowców i zaczęły się wycofywać w stronę Warszawy. Jadąc przez las na skrót żołnierze nie wiedzieli, że przed nimi rozpościerają się błota trudne do pokonania. Poradziły sobie tylko lżejsze pojazdy. Konie i ciężkie samochody zostały na bagnach. Po jakimś czasie wojsko przeszło na południe i nastąpiła chwilowa cisza. Przerwały ją dopiero rżące w błotach konie. Było to jak wołanie o pomoc. Ponieważ w całej wsi zostały tylko dwie rodziny, więc ja z bratem pobiegliśmy zobaczyć co się tam dzieje. Na platformach ujrzelśmy masę różnego sprzętu: karabiny, amunicję, spłonki do detonacji materiałów wybuchowych, dłuta, świdry, nożyce do cięcia żelaza. Znaleźliśmy również maski przeciwgazowe i mnóstwo lin. Po oględzinach wróciliśmy do domu. Wzięliśmy własne konie i z powrotem poszliśmy wyciągać topiące się w bagnie zwierzęta, które cały czas wołały o pomoc. Najpierw porzucaliśmy liny. Następnie kolejno wyciągnęliśmy 8 koni. Jeden pozostał w bagnach na zawsze. Po zakończeniu operacji ze zwierzętami zainteresowaliśmy się zawartością platform. Wybieraliśmy tylko rzeczy przydatne do użytku w gospodarstwie. Na drugi dzień zaczęli wracać ludzie, którzy uciekli przed Niemcami. Opowiedzieliśmy im co jest w bagnach. Po dwóch dniach platformy i wózki amunicyjne zostały zupełnie puste. Zachowaliśmy i my pięć karabinów i kilka paczek amunicji. Przywlekliśmy to wszystko do stodoły, ale tajemnica szybko się wydała. Ojciec zobaczył i o mały włos nie dostaliśmy pachów. Natychmiast musieliśmy to wynieść do lasu. Ojciec kazał nam to schować i... miał rację. Niemcy przyjechali do naszej wsi po dwóch tygodniach i pytali, gdzie podział się sprzęt wojskowy z tych wozów, kto opróżnił dwukółki amunicyjne. Zebrany tłum wieśniaków milczał. Ja wystąpiłem i powiedziałem, że to polscy żołnierze wszystkie sprzęt przenieśli z tych błot na suchy teren, przeładowali na wozy cywilne i odjechali w stronę Warszawy. To jakby na razie uspokoiło hitlerowców. Powyciągali platformy oraz wszystko co jeszcze zostało i wywieźli na złom.

W okolicznych miejscowościach żyło sporo ludności niemieckiej. Tylko w naszej gminie zamieszkiwali oni 10 wsi, nie licząc pojedynczych kolonii rozsianych po całym powiecie ciechanowskim. Przed rokiem 1939 byli oni tak spokojni, że nie zwracano na nich uwagi. Dopiero po wkroczeniu wojsk hitlerowskich pokazali nam swoje rogi. Pozakładali opaski na rękawy. Młodzi Niemcy – cywile, wspólnie z żołnierzami przeprowadzali częste rewizje wypędzając wszystkich domowników na podwórze. Kazali trzymać ręce

w górze, a oni przeszukiwali wszystko i zabierali dla siebie wartościowe rzeczy. Byli bardzo brutalni i rozwścieczeni, nie pomagały żadne prośby.

Mieszkaliśmy najbliżej lasu. Nasza ziemia graniczyła z leśniczówką zamieszkałą przez dwie niemieckie rodziny o nazwiskach Miler i Linke. Chodziły pogłoski, że mają nas wysiedlić. Na szczęście do tego nie doszło. Może dlatego, że ojciec mój był po wylewie, a my byliśmy zbyt młodzi. Dość, że odstąpiono od tego zamiaru, ale wzięto nas i całą okolicę pod obserwację. Przeprowadzano u nas częste rewizje.

Na przełomie 1939/1940 roku była bardzo mroźna i śnieżna zima. Co drugi dzień było obowiązkowe wożenie kamieni na budowę dróg. Mrozy dochodziły do -38 stopni. Kto miał konie zobowiązany był wykonywać wszystkie polecenia hitlerowców. Dla nieposłusznych przygotowano strzeżony obóz w Ojrzeniu i tłuczenie kamieni na mrozie. Z trudem przeżyliśmy zimę. Wiosną podjęto decyzję – poszerzać szosę wschód-zachód od Płocka do Ciechanowa i na wschód do Baranowic. Młodzież do lat 16 masowo wywożono na roboty do Niemiec. Do 1941 roku szosa została oddana do użytku. Niemcy z dumą dzień i noc prowadzili różnego rodzaju wozy i samochody pancerne. Jechali po zwycięstwo. W czerwcu 1941 roku dokonali ataku na Rosjan.

Pierwsze uderzenie zakończyło się triumfem hitlerowców. Weszli w głąb ZSRR. Zamieszkali w naszej okolicy Niemcy powołani zostali do wojska. Zostali tylko nieliczni do utrzymania porządku. A utrzymywali go bardzo gorliwie. Za bzdury skazywano w sądach na kary więzienne. Na przykład kamieniarz wiozł na rowerze trzy jajka pod kapeluszem i za to skazany został na 6 miesięcy. Na gospodarstwa nakładano wysokie kontyngenty. Dokładnie mierzono zboże i mleko, a obowiązkowe dostawy jaj określano w zależności od liczby posiadanych kur. Tato nasz był chory, więc wszystkie obowiązki musiałem wykonywać sam. Jedyną pomocą był mój młodszy o dwa lata brat.

Ciechanów stał się teraz miastem wojewódzkim. Ludność polską zepchnięto na obrzeże miasta, skupiając w centrum dużą administrację policyjną. O bagnach, w których „zniknął” porzucony przez polskie wojsko sprzęt Niemcy nie zapomnieli. Interesowali się każdym szczegółem na ten temat. Zastanawialiśmy się czy ktoś im nie donosi. We wsi Krusz mieszkał Henryk Stryjewski, po szkole średniej, który doskonale władał językiem niemieckim. Był zatrudniony w gminie. Nic nie uszło jego uwadze, dzięki czemu ustalił pewnych osobników, którzy są częstymi gośćmi w Żandarmerii.

W 1940 roku organista z Glinojecka – Truszkowski zorganizował grupę AK. Liczyła ona około 40 mężczyzn. Szybko jednak zorientował się, że bardzo się nim interesuje Żandarmeria, więc ulotnił się bez wieści. Przez rok zgrupowanie nie mogło znaleźć odpowiedniego człowieka na komendanta. Stanowisko to zaproponowano Stryjewskiemu z Kruszu. Jego ojciec był bliskim kolegą mojego taty. Byłem słuchaczem ich rozmów. Kiedyś słyszałem, jak Stryjewski wymieniał nazwiska ludzi związanych z AK. Ojciec mój słuchał uważnie swego kolegi, w końcu spytał go czy podjął już decyzję o objęciu funkcji czy dopiero ma zamiar. Tamten odpowiedział, że został zaprzysiężony w zeszłym miesiącu. Tato wstał z krzesła i zwrócił się do niego słowami: „Przyjacielu kochany, straciłeś syna. Obyś tylko i ty nie zapłacił głową”. Okazało się, że większość wymienionych ludzi nie powinna w ogóle wiedzieć o istnieniu organizacji. Stryjewski posmutniał i przyznał rację mojemu ojcu.

Schowane karabiny pięcioprowadzające poukładane w mosiężnych skrzynkach zabezpieczyliśmy wazeliną. Ucieliśmy kawałek plandeki, która była prawie na każdej platformie i owinęliśmy nią broń. Ukryliśmy to pół kilometra od miejsca zatopionych pojazdów na suchym terenie. Do Stryjewskiego miałem pełne zaufanie. Oświadczyłem mu, że mam 5 karabinów i 5 ciężkich pudełek amunicji i że mogę mu to przekazać wraz z nożycami do cięcia stalowych prętów. Ucieszył go mój prezent. Powiedział, że koniecznie trzeba to przenieść do małych gospodarstw, ponieważ lasy państwowe są strzeżone przez leśników. Miejsce ukrycia miałem mu pokazać w czasie, gdy Niemcy będą na swoim zebraniu. Prosiłem go, żeby nikomu nie mówił, że ma to ode mnie. Po miesiącu sprawdziłem czy zabrał wszystko. Okazało się, że został tylko dół zasypany liśćmi.

W 1941 roku po żniwach wezwani zostaliśmy przez komendanta Stryjewskiego do lasku, rosnącego między Kruszem a Duktem. Przyszędłem na umówioną godzinę. Oprócz Stryjewskiego był tam też jakiś młody człowiek. Byłem zaskoczony, ponieważ przyszło jeszcze trzech moich kolegów z ławki szkolnej: Bronisław Śliwiński, Edward Betlej i Czesław Frankiewicz. Komendant zwrócił się do nas: „Chłopcy, chcemy z was utworzyć grupę specjalną. Wybrałem was, bo liczę na waszą szlachetność i odwagę. Ten pan będzie waszym instruktorem. Stawiam jeden warunek – musicie uczyć się języka niemieckiego”. Instruktor zmierzył nas oczami i po chwili zapytał czy wyrażamy zgodę pracować dla Rzeczypospolitej Polski, Matki Ziemi, nas wszystkich. Odpowiedzieliśmy jednym chórem, że tak. Na wstępie oznajmił, że wszystkie polecenia będą przekazywane do niego, on będzie decydował o wszystkim. Frankiewicz zapytał go czy był w wojsku i jaki ma stopień. Trochę jakby się zdenerwował i odpowiedział: „Proszę nie zadawać mi pytań, po wojnie, jeśli ją przeżyjemy, sam się przedstawię”. Później się okazało, że jest to człowiek dużej tajnej organizacji politycznej. Ustalił termin następnego spotkania i zapowiedział, że złożymy przysięgę.

Drugie spotkanie odbyło się w niekorzystnych warunkach, bo siąpił chłodny deszcz. Zapraszaliśmy instruktora do siebie, ale odmówił. Ucałował nas i odszedł w kierunku Krusza. Widocznie udał się do

komendanta Stryjewskiego. Na kolejnym spotkaniu przydzielił nam zadania. Mieliśmy śledzić ludzi współpracujących z Niemcami. „Będziecie ich anonimowo powiadamiać, że o wszystkim wiemy. Niech Bóg ich strzeże, jeżeli się nie uspokoją. Anonim musi być wysłany z odległej poczty, żeby nikt nie podejrzewał sąsiadów” - takie otrzymaliśmy rozkazy.

Między Ciechanowem a Głinojeckiem, tj. na przestrzeni 25 kilometrów ukrywało się ponad 200 ludzi, których ścigała Żandarmeria i wojsko. Schwytani byli okropnie bici i odsyłani do więzień. Uciekających zabijali. Ta ludzka tragedia zataczała coraz większe kręgi. W Ciechanowie przed wojną stacjonował 11 Pułk Ułanów Polskich. Po kapitulacji Niemcy ogłosili, żeby wszyscy oficerowie przybyli się do koszar w celu odtransportowania do obozów w Rzeszy. Nie wszyscy się zgłosili. Część podjęła pracę na naszych budowach – gdzie kto mógł. Niemcy przymykali na to oko. Kiedy jednak na wschodnim froncie zaczęli doznawać druzgocących porażek, jednej nocy zebrali pozostałych oficerów i rozstrzelali w lasach blisko nas. Wkrótce dokonali kolejnej zbrodni. Z powiatu mławskiego i ciechanowskiego zebrano wszystkich ludzi nieuleczalnie chorych. Obiecano im opiekę szpitalną. Następnego ranka o świcie usłyszeliśmy jazgot karabinu maszynowego i krzyk spychanych z platform ludzi. Zwłoki wywieziono do Płocka na spalanie. Do wybierania trupów wzięli Żydów, których potem też zabili. W pobliżu nas rozstrzelano nauczycieli, polską inteligencję. Niemieckie władze oznajmiły, że wybiją wszystkich, którzy ukrywają przestępców i organizują zbrojny opór. Każdy udzielający schronienia ukrywającym się, będzie tak samo odpowiedzialny. Gazeta niemiecka pisała, że na Mazowszu na zapleczu powstaje drugi front z ludzi ukrywających się. Udowadniali władzom, że tu powstaje wielkie zagrożenie. Częste oblawy przerażały ludzi. Kto miał kogoś z rodziny na robotach w Rzeszy pisał listy, że chce pracy. Ściągali jeden drugiego, by przetrwać ten koszmar. Lepsza najlichsza praca niż śmierć. Część ludzi przedostała się za Wisłę do Protektoratu Warszawa. Nie było tam jednak bezpieczniej. Pojedynczo zaczęli wracać. Ośmiu ukrywających się zginęło w stogu siana. Zdrajca wkrótce otrzymał od podziemnego sądu karę śmierci. Wyrok dostał również Uznański z Rydzewa za brutalne odnoszenie się do rolników i organizowanie dodatkowych dostaw bydła i świń.

Niemcy w 1942 roku podczas rewizji znaleźli u nas słownik polsko-niemiecki i kilka nowych zeszytów. Pytali rodziców czyje to jest. Tego dnia nie było mnie w domu, zostawiłem więc kartkę, żebym się stawił. Po miesiącu przyszło wezwanie, że wyrokiem sądu wojewódzkiego zostałem skazany na 6 miesięcy „sztraf lagier” za nie zgłoszenie się na posterunek. Odsiadka – do Płońska – wyznaczono dzień i godzinę. Koledzy, którzy już przeszli przez Płońsk mówili mi, że tego nie wytrzymam. Żarcie jest bardzo słabe, a w dodatku każdego dnia jest bicie i kopanie. Nie poszedłem do więzienia w wyznaczonym terminie. Zaczęłem się ukrywać wykonując zadania podziemia. Ludzie, którzy to przeżyli byli nie do poznania. W gospodarstwie brat przejął moje obowiązki. Czasem jeździłem za niego na podwozy z dostawą wyznaczonych kontyngentów. Instruktor mówił, że sytuacja nasza jest za ciężka, ale czas pracuje na naszą korzyść i wzrasta nadzieja, że Niemcy zostaną zdruzgotani. Kryjówkę miałem we własnych budynkach gospodarczych. Stamtąd wymykałem się w celu wykonywania zleconych zadań.

Zapomniałem wspomnieć z jakiej rodziny pochodził komendant Stryjewski. Otóż był żonaty i miał jedną córkę. Ojciec jego był to człowiek uczciwy, inteligentny, prawdziwy szlachcic. Posiadał 60 hektarów ziemi. W domu było ich pięciu braci i dwie siostry. Brat Witek, z którym chodziłem do szkoły, został wcielony do firmy „Tot” i wywieziony do Rosji do budowy dróg. Z naszej okolicy zabrano ponad 100 mężczyzn. Witek zamordowany został przez gestapowców. Jego młodszy brat pędził własne bydło z pastwiska, krowa nadepnęła na minę i chłopak zginął na miejscu.

Komendant Stryjewski wyruszył ze swymi ludźmi do akcji, która od samego początku skazana była na niepowodzenie, gdyż obserwował ich zdrajca Pyśniewski z Zalesia. Jednej nocy wszystkich aresztowano – razem 34 mężczyzn i 1 kobietę (Grabowską – kumę Pyśniewskiego). Stryjewskiego i kilku innych zamordowano w Mławie, pozostałych wywieziono do Oświęcimia. Część z nich wróciła, inni poginęli. Mieliśmy szczęście – nasz przewodnik zabronił komendantowi wciągać nas na ich listę. Stryjewski miał nas tylko obserwować. Miał prawo wystawiać opinie do naszego przełożonego. Po wojnie mieliśmy otrzymać nominacje wojskowe i odznaczenia. Tak się jednak nie stało. Dowiedziałem się później, że przełożonym naszym był Stanisław Bólkowski zamieszkały w Ciechanowie, który po wojnie wyjechał za granicę. Pyśniewski za zdradę otrzymał wyrok śmierci, ale wcześniej zginął z rąk Gestapo, bo znaleziono u niego karabin i część naboju w zapasie.

Wracam do sytuacji z 1943 roku. Do podziemia wchodzili coraz to nowi ludzie, nawet z Protektoratu Warszawa. Byli bardzo wygłodzeni, kupowali od chłopów świnie, bili, oprawiali i jedli w lesie. Posiadali broń i w krytycznych sytuacjach odpowiadali ogniem. Wraz z grupą 10 osób w podziemiu zjawiał się kolega Tadeusz Piątek z Wólki. Tego wieczora chłopaki trochę sobie popili. Była to późna jesień, noce były chłodne, mgła gęstniała. Zaczęli się zastanawiać, gdzie mogą przenocować. Piątek wysunął propozycję. Stwierdził, że najlepiej będzie u Bugiewskiego. „To bogaty kołtun, do takich Niemcy nie zagląдают” – mówił. Wszyscy więc wolnym krokiem ruszyli w stronę Garwona. Bez trudności tylnymi drzwiami dostali się do środka. Między dwunastą a pierwszą w nocy obudził ich strzał i błysk światła. Zerwani ze snu zaczęli uciekać drugimi drzwiami. Dwóch zostało zabitych, reszta uciekła wlokąc za sobą rannego

w pachwinę Wojtczaka z Wólki. Okazało się, że cała akcja została dokładnie zaplanowana przez Niemców. Pomógł im w tym Piątek, który miał na swym koncie wyrok do odsiadki. Aby nie iść do więzienia wyraził chęć wstąpienia do wojska niemieckiego. Wcześniej jednak musiał się czymś zasłużyć. Uzgodnili, że jeśli akcja wypadnie dobrze, Piątek zostanie wcielony do armii. Tak też się stało. Wysłany został na front wschodni. Podczas jednego z ataków, leżąc przy trafionym żołnierzu umazał się jego krwią, podsunął się jak najdalej do przodu i udał, że nie żyje. Gdy ucichły strzały zbierano rannych i trupy. Powłókł się do sanitariuszy rosyjskich i oświadczył, że jest Polakiem i chce walczyć w polskim wojsku. Przeszedł w sztabie dokładną spowiedź. Oświadczył, że zgłosił się do niemieckiego wojska, żeby dotrzeć do polskich jednostek. W czasie pobytu na terenie Mazowsza rosyjscy i nasi żołnierze przywieźli Piątka do rodzinnej wsi. Zamiast do mamusi zaprowadzili go do sołtysa. Ten od razu poznał „bohatera”. Chłopak sołtysa wymknął się z domu i powiadomił nas o wizycie. Wkrótce izba zapęłniała się ludźmi. Wyzywali Piątka od zdrajców, złodziei itd. Wtedy on rozpiął płaszcz i pokazał, że jest oficerem Wojska Polskiego. Za chwilę ze swymi kompanami poderwał się na nogi, wsiadł do samochodu i odjechał na zachód. Po miesiącu przyszła sucha notatka, że zginął na polu chwały podczas forsowania Odry.

Ranny Wojtczak pozostał sam, a kumple zmienili teren pobytu. Sam się przemieszczał z miejsca na miejsce, był nieuchwytny. Ktoś rzucił propozycję, żeby go zastrzelić, bo mogą być jakieś kłopoty. Nie zrobili tego jednak, lecz donosili mu opatrunki i środki dezynfekujące. Ale to wszystko okazało za mało. Rana była zbyt duża i konieczne było zaszycie. Zaczęła go brać gorączka, nie pomagały proszki. W końcu Niemcy zwinęli go śpiącego w lesie powiadamiając Gestapo w Ciechanowie. Wojtczak otrzymał zastrzyki i jego stan trochę się poprawił. Na rozkaz żandarmów o 9 rano podstawiono konie zaprzężone do bryczki. Takie polecenie otrzymał sołtys z Zalesia. Wojtczaka zmusili, żeby wskazał u kogo przebywał. Pojechali do Kawczyńskiego, ten wyszedł przed dom i skłonił się swoim katom. Gestapowiec chwycił za szpadel i ostrzem przeciął mu głowę na pół. W podobny sposób zakatowali trzech braci Biskich z koloni Wola Rydzewska. Ktoś w porę ostrzegł gajowego z Rydzewa i ten zdążył uciec wraz z całą rodziną. Wojtczaka przywieźli na posterunek i nazajutrz zabili. Przez trzy dni jeździli po wszystkich wsiach niosąc postrach i zgrozę. Przywieźli dwóch zakładników z tych rodzin, u których ktoś się ukrywał i zamordowali. Do nas też przyjechał żandarm na koniu i oświadczył mamie, że jeśli ja się nie zjawię na posterunku, to przy ich drugiej wizycie „poleci” dwóch albo i trzech. Żandarm mówił dobrze po polsku, był poznaniakiem. Nie muszę opisywać, co działo się w rodzinie po takiej zapowiedzi.

Na drugi dzień rano wykapałem się, ogoliłem, włożyłem czystą bieliznę i odświętne ubranie. Pożegnałem ukochanych rodziców i wszystkich domowników i wybiegłem na dwór. Do posterunku miałem 8 kilometrów. Po drodze rozmyślałem. Żał mi było, że zginę za tak małą cenę. Modliłem się: „Boże, jeśli mnie słyszysz bądź dla mnie łaskawy”. Przyszedłem do Glinojocka. Patrząc na wieżę kościoła, komin fabryczny, rozglądałem się po domach i widzę ostatnią przystań. Przed posterunkiem spotkałem koleżankę Alinę Krawczyk, która pracowała u komendanta żandarmerii. Zawołała ściszym głosem: „Wróć, uciekaj. Ty jesteś na liście straceńców”. Alę znałem z ławki szkolnej, darzyła mnie sympatią. Doskonale znała język niemiecki. „Alinka proszę cię, jakbyś mogła to poproś go, żeby mnie nie zabił tylko odesłał do więzienia” – powiedziałem błagalnie. Rzuciła się na mnie, pocałowała i znikła w drzwiach kuchennych. Ja musiałem wejść od podwórza. Znalazłem się na posterunku. Komendant siedząc rozparty w fotelu zapytał po niemiecku po co tu przyszedłem. Powiedziałem, że nazywam się Radzisław Gołębiowski. Lista poszukiwanych wisiała na ścianie, obok biurka leżał duży wilczur. Komendant spojrzawszy w stronę listy, na twarz napłynęła mu krew, wpadł we wściekłość i zaczął wrzeszczeć do mnie po niemiecku. Zawołał Alinę, a ona jakby czekała za drzwiami weszła i zaczęła coś tłumaczyć. Z drugiej strony weszła jego żona. Zaczęło się przesłuchanie – dlaczego nie stawilem się w wyznaczonym terminie do więzienia. Przyznałem, że byłem nieposłuszny wobec prawa, powiedziałem że chcę z tym skończyć, odsiedzieć i wrócić do normalnego życia. „Jestem młodym człowiekiem i na pewno zdążyłbym odrobić wyrządzoną krzywdę. Los mój jest w pana rękach” – powiedziałem i rozplakałem się. Kiedy Alina wszystko mu przetłumaczyła, zaczął ryczeć po niemiecku. Słyszałem „bandyt, bandyt”. Żona jego stojąc przy drzwiach starała się go przekrzyknąć: „To jeszcze dorastający chłopak. Zabiliście już czterech, zabij i tego. Wygracie wojnę jak wybijecie polskich chłopców”. Opisuję to w skrócie, ale dla mnie trwało to wieczność. Komendant opadł wreszcie z emocji, zapiął kaburę od pistoletu, zapalił cygaro, zakręcił korbką telefonu i coś zapisał patrząc na zegar. Kiedy za chwilę wszedł żandarm, kazał zaprowadzić mnie do celi i jutro odwieźć do Płońska. Prowadząc mnie do aresztu żandarm powiedział, że mam szczęście, że gestapo odjechało, bo oni od razu by mnie zabili. Żandarm ten często do nas przyjeżdżał, niby mnie szukał, a tak naprawdę nie odjechał dopóki mu mama kurczaka nie upitraszyła. Dam ci koc, powiedział, jest chłodno. Był początek marca 1943 roku. Posterunek żandarmerii graniczył z piekarnią po Walczaku. Za jakąś godzinę przyniósł mi świeży chleb. Następnego dnia Tadzik Zagórski z Glinojocka odwiózł nas do Płońska do więzienia. Mówię nas, bo towarzyszył mi żandarm. Na miejscu w kancelarii sekretarz zapytał mnie, w którym roku zostałem skazany i za co. Za nieposłuszeństwo otrzymałem 6 miesięcy lagru w 1941 roku. Dopiero teraz zgłosiłem się do odsiadki. W pokoju tym siedziało 5 urzędników ubranych na czarno i o śniadych twarzach. Sekretarz opisywał mnie w dzienniku, w którym każda strona przekreślona była na

ukos czarną linią. Powiada do żandarma, że na wolność wyjdę kominem. Czulem jak krew odpływa mi z mózgu, zrobiłem się śmiertelnie błądy.

Znajomy żandarm w tym momencie zaoponował. „Rodzice jego wśród kolonistów cieszą się dobrą opinią, sąsiadują z dwoma leśnikami, którzy wypowiadają się o nich bardzo dobrze” – powiedział, po czym dodał: „Jeżeli tego chłopaka zniszczymy to jaka opinia będzie o nas wśród Polaków, a i niemieccy koloniści nie będą z tego zadowoleni. Podkreślam panu, ten chłopak sam się zgłosił do nas”. „To jest zadziwiające” – mruknął sekretarz i ukrył twarz w dłoniach. Wrócił do dziennika, w którym dużymi literami przez całą kartę napisał: „Anuluję”. Zamknął dziennik, położył go w to samo miejsce i szukał następnego. Od nowa mnie opisał. Klucznik, który nas wprowadził do kancelarii, cały czas stał w otwartych drzwiach, tak jakby czekał na swoją padlinę. Po skończeniu ceremonii podpisał żandarmowi kartę, a ten zasalutował i wyszedł. Klucznik warknął na mnie. Trzymając w ręku na dużym kółku pęk kluczy po wyjściu z kancelarii bił mnie nimi gdzie popadło. Posiniaczył mi twarz, miejscami popręcał. Doszliśmy do głównego piekła. Zadzwoił. Przyleciał strażnik, od środka otworzył drzwi więzienia i weszliśmy na piętro. Po chwili znalazł pustą celę, wprowadził mnie i zamknął.

Miałem dłuższą przerwę. Naraz słyszę kroki na korytarzu. Roznosili obiad. Były ziemniaki w łupinach i makaron cięty z czerwonych buraków. Woda buraczana smakowała mi jak najlepszy napój. Po obiedzie przerwa i cisza. Około godziny czwartej zazgrzytał klucz i w drzwiach ukazał się przystojny wojskowy. Zaprowadził mnie do magazynu. Pracowało tam dwóch więźniów, jeden coś pisał, drugi układał łachmany więzienne, numerował itd. Kazał mi się rozbierać. Szybko zdjąłem swoje ciuchy. Zdążyłem wdziać kalesony i zapinam koszulę, a ten już wpadł we wściekłość. Bat miał w spodniach i zaciekle okładał mnie gdzie popadło. Z bólu wpadłem pod stół, a stamtąd poleciałem w ką. Łachmany przeznaczone dla mnie porozwalały się. Więzień pobierał to wszystko i mówi: „Wariacie, coś taki wrażliwy, to dopiero początek”. To głupie zwierzę dołożyło mi jeszcze parę razy. Wreszcie uspokoił się nieco i wprowadził mnie do celi. Dwóch starszych chłopów czochrało sznurki od snopowiązałki, które z powrotem szły do przędzalni. Wypytywali mnie jak jest na wolności. Opowiedziałem im, że terror nie maleje. Jeden był z Baboszewa, drugi z Czerwińska. Razem z nimi czochrałem te sznurki. W drzwiach pokazał się ten sam osobnik. Pociągnął ręką po piecu, przejrzał umywalki i miski do jedzenia. Było brudno. Wyciągnął pejcz i zaczął okładać tych biednych chłopów. Ja ze strachu dałem nura pod mury. Siedziałem skulony, mało mi serce nie wyskoczyło, słuchałem czy mnie nie woła. On zamknął drzwi i wyszedł.

Przez następne dni pędzono nas do pracy w polu. Ludzi, którzy mieszkali w pobliżu więzienia wysiedlono, ziemia i budynki przeszły pod zarządek więzienia. Gospodarzem tych prac polowych był Mikoś, przedwojenny klucznik tego więzienia. Był to człowiek o bardzo dobrym charakterze, z którym każdy chciał pracować. Drugim wachmanem był Szmyt z Czerwińska. Mówił po polsku, a niemieckiego dopiero się uczył. Była to bestia. Więzień na jego widok dostawał gęsiej skórki. Podczas pracy w polu wymyślał różne sztuczki, aby mieć podstawę do bicia. Bił ręką. Boże broń przed takim uderzeniem, bo miał łapy jak łopaty.

W połowie kwietnia przywieziono nas do Ciechanowa. Z wagonu wysiadło nas około dwudziestu. Pozostali koledzy byli z powiatu z Sierpca. Ośmiu żandarmów z dwoma psami pędziło nas do baraków. W pobliżu od strony wschodniej było lotnisko. Niemcy jechali na rowerach. Jak trochę zwalnialiśmy to schodzili z rowerów i krzyczeli: „Schnell, schnell”. W Ciechanowie bicia nie brakło, a praca ciężka. Życie było bardzo liche, pomieszczono nas w drewnianym baraku podziurawionym przez pluskwy. Co dwa tygodnie robili dezynfekcję. Pomagało to tylko na tydzień, później nie można było dać sobie rady. Chodziły całymi pasmami, rąbały ciało. Było nas ponad 500 ludzi podzielonych na 3 grupy. W kwietniu pracowaliśmy przy budowlach, tłukliśmy kamienie, którymi wykładano alejki.

Po 3 maja przeznaczili nas do pracy przy torfie. W naszej grupie było 170 ludzi. Pracowaliśmy za Łyną na wprost młyna Wanisztocha. Druga grupa pracowała za magistratem na podzamczu. Trzecia, znacznie mniejsza, na budowli. Z początku kopano szpadłami. Chłopcy z przemęczenia przewracali się w brudne bajoro torfowe. Wachmani darli się, bo nie można było nadażyć kopać błota. Po trzech tygodniach przywieźli wager (to nazwa maszyny do kopania błota). Praca przybrała takiego tępa, że wszyscy chodzili jak pijani z przepracowania i niedożywienia. Otrzymywaliśmy rano 12 dag chleba, 3/4 litra kawy, w południe 3/4 litra kartoflanki zakraszonej olejem, na wieczór kartoflanek lub 12 dag chleba i kawę. W połowie czerwca zaczęliśmy padać ze zmęczenia. Jak któryś zemdlął wachman dochodził i cucił go kopniakami. Gdy widział, że to nie pomaga, kazał go przynieść pod kran i pod dużym ciśnieniem zalewał biedaka na śmierć. Chłopcy w wieku 17, 18 lat wyglądali jak 12 letnie dzieci, tacy byli wychudzeni. Tylko oczy i głowy mieli większe. Wracając z pracy musiałem wkładać za pasek kawałek deski, bo inaczej nie mogłem się wyprostować. Czulem jakby wypadał mi brzuch. Jeżeli więzień nie mógł przekroczyć bramy o własnych siłach, to nie wolno go było wprowadzać do baraku. Musiał zostać na ławie, żeby odpocząć. Nie wiedział jednak, że to jego ostatni odpoczynek. Z Płocka przylatywał blaszany pickup, w którym duszono ich spalinami.

Patrzyłem na grupę pracujących więźniów – nikt nie zdawał sobie sprawy co się tu dzieje. Tych ludzi nie ubywało, co tydzień przychodził nowy transport na uzupełnienie grupy. Przez obóz w Ciechanowie

masowo młodzi chłopcy na wół martwi przewożeni byli do Płocka na spalenie. Ta niezawodna, perfidnie przemyślana maszyna pracowała z pełną dokładnością. Wracając z pracy szliśmy nad Łyną. Zatrzymywano kolumnę do mycia. Jak można umyć się w błocie? Przecież oni zdawali sobie sprawę, że nie, ale można było dokuczyć tym wycieńczonym i głodnym biedakom. Po dwóch komendach pada rozkaz: „Wychodzić, koniec mycia, przegląd umytych”. Ale oni zdążyli się tylko umazać. Podchodzili po dwóch, chwyтали za te brudne łachmany i wrzucali z powrotem do bajora błotnego. W baraku spaliliśmy po dwóch, mieliśmy po jednym kocu. To ubranie, w którym chodziliśmy służyło za podglówek, a i do przykrycia, jak było chłodniej.

W niedzielę, żeby nas osłabić, na obiad dawali kartoflankę na mleku. Po dwóch godzinach powstaje rewolucja w żołądku. Siedem beczek na końcu baraku, przeznaczonych do załatwiania potrzeb natychmiast wypełniało się po brzegi, aż się z nich wylewało. Fetor był nie do zniesienia. Z wycieńczenia ledwie trzymaliśmy się na nogach. Można było zrozumieć, że nie chodzi o to, aby więzień odbył karę i wrócił do domu. Robiono wszystko żeby go zniszczyć, to był główny cel. Pozostał mi ostatni miesiąc do odsiadki.

O 6 wieczorem podano tę nędzną kolację. Pozostało trochę wolnego czasu. Nagle zrobiło mi się słabo, położyłem się i momentalnie zasnąłem. Wpada główny wachman na barak i krzyczy „Achtung”. Każdy więzień na tę komendę staje na baczność przy swoich noszach, na których spał. Komendant co wieczór odliczał stan więźniów. Przeliczył raz – wyszło mu, że brakuje jednego. Przeliczył drugi raz i zaczyna się drzeć, żeby szukać po pryzach. W tej krótkiej drzemce dostałem krwotoku z osłabienia, byłem zalany krwią. Koledzy ściągnęli mnie z barłogu i wołają: „Wstawaj, jest odliczanie!” Wachamn doszedł do mnie, zabulgotał groźnie i odszedł. Zgaszono światła i padła komenda „wszyscy spać”. Podszedł do mnie starszy pan, też więzień, dał mi dwie tabletki przeciw krwotokowi i to mnie trochę wzmocniło.

Kolega, z którym pracowałem był znad Narwi, nazywał się Czesiek Laska. Na drugi dzień powiedział do mnie: „Wiesz kochany, strasznie marnie wyglądasz”. To mnie przeraziło. Modliłem się, żebym tylko mógł o własnych siłach przejść przez bramę, to w niedzielę odpocznę. Na obiad jak zawsze była kartoflanka z mlekiem, które zlałem do beczki i nie miałem już kłopotów żołądkowych. Według moich wyliczeń zostało mi jeszcze do odsiadki dwa tygodnie. Modliłem się, aby Bóg dał mi siły dotrwać do końca.

Pamiętam, że była niedziela. O godzinie 3 po południu wywołano moje nazwisko. Pobiegłem szybko do kancelarii. Niemiec siedział przy stole i coś pisał. Ruchem ręki wskazał na moje ubranie i kazał się przebrać. Prowadzi mnie do bramy, daje zwolnienie, ja mówię dziękuję po niemiecku, a ten zaczyna mnie bić pejczem. Broniłem tylko oczy i uważałem, żeby nie upaść. Przeszedłem przez jezdnię i znalazłem się poza obozem. Zacząłem iść do trasy, która prowadziła w stronę Płocka, a więc do mego domu. Idąc powoli usłyszałem turkotanie wozu konnego. Marian Pniewski odwoził Niemca do stacji kolejowej. „Co oni z ciebie zrobili” – zawołał. Zeskoczył z wozu, wziął mnie na ręce i posadził obok. „Gadaj jak było”.

Po przyjeździe z obozu pomalutku dochodziłem do sił i zdrowia. Chociaż do zdrowia doszedłem dopiero w 1947 roku po otrzymaniu zastrzyków, które przysłał mi wujek. Byłem chory na zaćmienie prawego płuca.

Koledzy mieli dla mnie zadanie, które jak mówili, tylko ja mogłem wykonać. Na lasy rzewińskie pow. Płońsk samoloty angielskie zrzuciły broń. Trzeba było dowiedzieć się co się dzieje. Wybrali mnie, bo miałem w tych stronach rodzinę. Mówię do swego taty, że muszę iść do stryjka w Pawłowie. Ojciec ostrzegwał mnie, że to niebezpieczne, ale skoro muszę to trudno. Na drogę dał mi konia i dwa worki owsa, żebym oddał stryjowi. W jego domu kwaterowało 5 żołnierzy ukraińskich. Brat stryjeczny opowiedział mi, że były zrzuty z samolotów. Po wszystkich wsiach gm. Baboszewo są zakwaterowane wojska ukraińskie. Ciocia upitrasila coś do jedzenia, koń też coś dostał i z powrotem przyjechałem szczęśliwie do domu.

Po Sylwestrze 1944 roku do naszej wsi zjechało wojsko. Rozbite jednostki z rozbitymi pojazdami. Żandarmi już tu nie mieli nic do szukania. Żołnierze, którzy ukończyli reperację sprzętu odjeżdżali na wschód, przyjeżdżali drudzy i tak było do ostatnich dni wojny. Nasza działalność dobiegła końca, a instruktor więcej się nie pokazał.